

Janusz Brzozowski

# SEN



Janusz Brzozowski

# SEN

© Copyright by Janusz Brzozowski & e-bookowo  
Projekt okładki: e-bookowo  
ISBN 978-83-63080-00-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie II 2011  
(wydanie I Goneta.net)

*Składam serdeczne podziękowania  
Mojej Żonie Czesławie  
za okazaną cierpliwość podczas pisania tej książki.*

**Janusz Brzozowski**

# ROZDZIAŁ 1

---

Pacyfik tego dnia był wyjątkowo spokojny. Dziób statku Amsterdam, płynącego do Brisbane, łagodnie rozbijał leniwe fale w poświacie zachodzącego słońca. Na rufie, jak każdego wieczoru, gdy dopisywała pogoda, Johan i Rudolf Vinnerowie odbywali strzelecki trening.

– Z takimi wynikami moglibyśmy z powodzeniem wystartować na zbliżającej się Olimpiadzie w Sydney – powiedział z uznaniem Johan Vinner, kapitan statku.

Był czterdziestopięcioletnim, wysokim, dobrze zbudowanym blondynem o głębokich, wyraźnych bruzdach na twarzy.

– A co ja mówiłem? Wystarczy tylko każdego dnia trochę treningu, żebyśmy byli wręcz nie do pobicia. Spójrz Johan, na dziesięć twoich strzałów masz dziewięć dziesiątek i jedną dziewiątkę.

– Jak zwykle czekasz Rudolfie na to, bym uznał twoją wyższość.

Johan spojrzał na brata, który był zupełnym przeciwieństwem jego sylwetki. Jego naturalne, białe jak mleko włosy mocno kontrastowały z brązową, świeżą opalenizną jego

ciała. Był niskim czterdziestoletnim mężczyzną o szczupłej, wręcz chłopięcej budowie ciała.

– Muszę przyznać, że od paru lat jesteś niepokonany przez nikogo z naszej rodziny. Nawet Willi nie ma z tobą szans.

Stojąc przy tarczy, w której był praktycznie tylko jeden duży otwór, spojrzeli na płynący równo z nimi statek ich brata Willego.

– Myślę, Rudolfie, że wystarczy na dzisiaj tej zabawy. Mam jeszcze coś ważnego do zrobienia. Jutro będziemy już w Brisbane, a do tej roboty, jaka nas czeka musimy się dobrze przygotować. Sprawdziłeś już liny i pontony?

– Jeszcze nie, ale zapewniam cię, braciszku, że jeszcze przed wpływieniem do portu wszystko będzie zrobione i dopilnowane.

Odwrócił się i oparł o burtę, wpatrując się w bezkres wód.

– Co cię gnębi?

Johan stanął obok brata i dotknął jego ramienia.

– Jak długo będziemy stać w porcie, nim wypłyniemy po to złoto? – spytał nagle Rudolf.

– Tego mój drogi nikt z nas nie wie. Wszystko zależeć będzie od tego Ziarkowskiego, który od podstaw przygotował tę wyprawę. Dlaczego o to pytasz? – zdziwił się Johan.

Rudolf odwrócił wolno głowę w kierunku brata i uśmiechnął się.

– Znasz mnie, Johan. Możesz się ze mnie śmiać, ale chciałbym coś zobaczyć w tej Australii, a nie tylko siedzieć na statku

i użerać się z ludźmi. Dużo czytałem o różnych zakątkach tego kontynentu i podnieca mnie sama myśl, co mógłbym tu zobaczyć.

– Nie widzę żadnych przeszkód w tym, byś gdzieś sobie pojechał. Kto wie, kiedy następny raz los sprawi, że będziemy w tych stronach? Ale uprzedzam cię, że wszystko musi być zapięte na ostatni guzik nim się gdzieś wybierzesz.

Smutna twarz Rudolfa nagle pojaśniała.

– Myślisz, że będzie taka możliwość, bym urwał się ze statku na jakiś czas? – spytał uradowany.

– Sądzę, że tak. Nie zapomnij też, że właśnie w Brisbane będziemy montować nie tak dawno zakupioną nową aparaturę. A to może trochę potrwać. Wszystko będziemy wiedzieli dopiero po rozmowie z tym Ziarkowskim. A teraz mój drogi myślę, że jest odpowiedni czas byśmy coś zjedli.

– Ja tu jeszcze przez chwilę zostanę, ale niedługo.

– Spotkamy się w takim razie w mesie i rozchmurz się wreszcie – dodał, widząc ponownie zamyśloną twarz brata.

– Uwierzysz mi, że widzę już siebie wśród kangurów, koala i krokodyli. Zarobię tam tyle zdjęć i filmów, że będę w domu miał na rok zajęcia z ich obróbką.

– Nie zapomnij zabrać swojej broni marzycielu, jak będziesz wracał do kajuty. – Johan zwrócił mu uwagę.

„Zawsze był inny od nas” – pomyślał, idąc w kierunku schodów prowadzących do jego kajuty.

– Nie, nie zapomnę jej zabrać! Ona może być jeszcze nie raz potrzebna w tej krainie kangurów! – uśmiechając się, krzyknął za bratem.

Zachodzące słońce dotknęło już horyzontu, rzucając czerwonawą lunę na spokojną wodę oceanu.

„Ciekawe, czy będę miał wystarczająco czasu, by zrealizować swój plan” – pomyślał Rudolf, decydując się jednak na zjedzenie wieczornego posiłku.

\* \* \*

Twarz Piotra Balickiego wyrażała zdziwienie, gdy odkładał swój telefon komórkowy na szafkę przy łóżku. Odruchowo spojrzął na zegarek, którego nigdy nie zdejmował z ręki, a następnie na pościel, z której wyrwał go sygnał dzwoniącej komórki. Dochodziła czwarta nad ranem.

Świeże, rześkie powietrze, wpadające przez otwarte okno w pokoju motelu „Zenit”, owiało jego nagie ciało. Przeciągnął się. Usłyszał trzask zastanych kości i wolno opuścił ręce.

„Starzejesz się, panie Piotrze” – pomyślał.

Narzucił na siebie cienki szlafrok i podszedł do okna, nie przestając myśleć o zakończonej przed chwilą rozmowie. Wydawało mu się dziwne, a zarazem śmieszne, że o tak wczesnej



porze Bob mógł wpaść na pomysł, by zapraszać ich do siebie na nadchodzące Święta Bożego Narodzenia i potem krótkie wakacje.

„Widocznie nie tylko ja się starzeję – pomyślał, a zawsze wesoła i uśmiechnięta twarz przyjaciela pojawiła mu się we wspomnieniu. – Muszę przyznać, że wybrał dość oryginalną godzinę na te zaprosiny. Ale po nim wszystkiego można się spodziewać” – podsumował swoje myśli.

Przypomniał sobie jego ostatni zwariowany kawał, jaki zrobił Annie w dzień jej urodzin, co momentalnie rozchmurzyło jego poważną twarz. Widok wstającego dnia przyciągnął jego uwagę. Gama pojawiających się na niebie kolorów zmieniała swe barwy z minuty na minutę. Spojrzał w dół, gdzie jeszcze w blaskach ogrodowych lampionów wesoło pobłyskiwała czarna tafla wody. Monotonny szum pompy filtrującej wodę był ledwo słyszalny. Wstawał kolejny letni dzień.

Odświeżony i ubrany już do podróży zszedł na śniadanie. Restauracyjna sala świeciła pustką. Mijając stolik, na którym stała świeżo zaparzona kawa z przyjemnością wciągnął głęboko powietrze, delektując się jej aromatem. W momencie zajmowania miejsca przy stoliku tuż kolo okna ujrzał pierwsze promienie słońca, prześwitujące przez palmowy zagajnik. Odruchowo wziął do ręki gazetę i spojrzał na jej pierwszą stronę.

*„Sukces naukowca. Mapa z XIX wieku okazała się niezbędna.*

*[...] znany naukowiec, doktor Bob Ziarkowski, dopiął swego. Po wielu latach badań doktor Bob Ziarkowski wyrusza w połowie stycznia z ekspedycją, by wydobyć z dna Pacyfiku rosyjska fregatę, która zatonięła w XIX wieku [...]*”

– Słucham pana? – Młoda kelnerka, która wcześniej zajęta była na zapleczu swoimi czynnościami, kiedy wchodził na salę, okazywała mu teraz pełne kobiece wdzięki, stojąc obok jego stolika.

– Dzień dobry, pani. Poproszę omlet z trzech jajek, dwie bułki i morze tak dobrej kawy, jak ta, którą już przed chwilą pozwoliłem sobie nalać samemu.

– Zaraz podaję, proszę pana – wymuszony uśmiech, jaki wydobyła z siebie przypominał mu Annę, dla której obecna pora dnia to co najmniej środek nocy.

Znowu wrócił myślami do niedawno odbytej rozmowy z Bobem.

„Kusząca propozycja – pomyślał, zapominając na razie przeczytanej przed chwilą notatce w gazecie. – „Jestem trochę już zmęczony pracą i tymi ciągłymi wyjazdami. Annie też przydałoby się trochę odpocząć. Kto wie, czy nie namówię ją na ten wyjazd do Ziarkowskich”.

Gdy kończył pić kawę po skończonym śniadaniu, zwrócił uwagę na jeszcze jeden artykuł. Tym razem o Instytucie Morskim w Melbourne:

*„Zagadkowe zatonięcie statku badawczego.*

*[...] nadal nie jest jasne, kto ponosi winę za zatonięcie statku badawczego »Black Boy«, który prowadził badania na Południowym Pacyfiku. Przeprowadzone dochodzenie w Instytucie Morskim w Melbourne wykryło szereg nieprawidłowości odnośnie zakupu aparatury, w którą wyposażony był statek. Prokuratura i Naczelna Izba Kontroli prowadzi nadal intensywne śledztwo [...]”*

„No to Cezary ma kłopoty” – pomyślał Piotr, odkładając gazetę.

Za kierownicą swojego forda wyglądał jak typowy turysta. Niczym nie przypominał agenta, zajmującego się sprzedażą drogocennych pereł. Płócienna niebieska koszula w duże kolorowe motyle oraz żółty słomkowy kapelusz uzupełniały ciemne okulary, zakrywające mu sporą część twarzy.

– Życzę panu przyjemnej podróży. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś zawita pan do naszego motelu.

Piotr dopiero teraz zauważył młodą, wysoką szatynkę, która opierała się o dach jego forda.

– Pani każdego gościa osobiście żegna, czy wybiera pani jednostki? – spytał Piotr.

W blaskach słońca widział teraz zupełnie inną dziewczynę, niż tę, która obsługiwała go podczas śniadania.

„Młodość i uroda rzadko idą w parze” – pomyślał, widząc przed sobą śniadą piękną twarz o wyjątkowo niebieskich oczach.

– Zaletą tego motelu, proszę pana, jest dbanie pod każdą postacią o swoich gości. Zwłaszcza, gdy są tak roztrzępani, że zapominają zabrać portfel ze stolika. To chyba Pana własność, prawda?

Wyciągnęła z kieszeni fartucha portfel i wręczyła Piotrowi jego zgubę.

– Oh, tak, jest mój. Dziękuję bardzo. Przyznaję, że ostatnio jestem trochę roztargniony, ale nie spodziewałem się, że aż tak. Jeszcze raz bardzo dziękuję. Daleko bez niego bym nie ujechał. Pozwoli pani, że zrewanżuję się jakoś za tę opiekę nad tak roztrzępanym klientem.

Otworzył portfel i wyciągnął pięćdziesięciodolarowy banknot.

– Proszę darować sobie tę hojność. Wystarczy mi pana obietnica, że jeszcze kiedyś pan nas odwiedzi.

Zupełnie inny uśmiech Piotr dostrzegł teraz na jej ustach. Spojrzeli sobie w oczy.

– W takim razie jeszcze raz bardzo dziękuję i obiecuję, że jeszcze nie raz zagładnę tutaj. Ostatnio często jestem w tych stronach. Jak się pani nazywa?

– Pamela Huston. Przyjaciele mówią do mnie Pam. Mam nadzieję, że nie zapomni pan... tak jak swojego portfela.

– Nie, nie zapomnę. Jestem Piotr Balicki – uśmiechnął się, wyciągając do niej rękę. – Jeszcze raz dziękuję za oddanie mojej zguby.

Poczuł delikatny uścisk na swej dłoni, po czym jej ręce rozprostowały mu dłoń.

– Powiem coś panu – powiedziała, nie spuszczając oczu z jego dłoni. – Jest pan w życiu szczęśliwym człowiekiem i ma pan w nim wyjątkowe szczęście. Jednak widzę przed panem zbliżające się poważne kłopoty. Ostrzegam pana przed przyjaciółmi, z którymi się pan wkrótce spotka. Widzę śmierć, zgarniająca spore żniwo. Proszę uważać na siebie... i żonę – dodała po chwili, uwalniając mu rękę.

– Dziękuję za ostrzeżenie. Przy najbliższej okazji powiem pani, czy miała pani rację.

– Ja nigdy się nie mylę, drogi panie. Przyjemnej podróży, szczęśliwcu.

Ruszając spod motelu widział w lusterku Pamelę, machającą mu na pożegnanie ręką.

Z Coolgardie do domu w Bunbury miał około pięciuset pięćdziesięciu kilometrów.

„Powiniennem za sześć godzin być już w domu” – pomyślał, wjeżdżając na autostradę numer dziewięćdziesiąt cztery, prowadząca na zachód. Dla orientacji spojrzął na zegarek, minęła szósta. Włączył radio i klimatyzację, zamykając szczelnie szyby. – „Ciekawe, jak Anna przeżyła ten tydzień rozłąki?” – pomyślał. Żył już domem, Anną... pragnął odpoczynku.

Droga stawała się coraz bardziej kręta. Małe wzniesienie, na które właśnie wjeżdżał było strome. Spojrzął w prawo, zwracając uwagę na wspaniałą widok typowego australijskiego buszu tonącego w porannym słońcu. Sygnał dzwoniącej komórki przerwał mu tok układanego w myśli planu urlopu.

– Tak, słucham? – odezwał się, przykładając komórkę do ucha.

– Jak ja się cieszę, Piotrze, że cię słyszę. Nie wytrzymałam dłużej i chcę ci powiedzieć bardzo miłą wiadomość. Przed chwilą skończyłam rozmawiać z Basią Ziarkowską, która szła na ten swój trening strzelecki. Nie wiem, czy jest to odpowiedni czas i pora na to, by zawracać ci głowę, ale skoro już zdecydowałam się z tobą rozmawiać, to muszę ci o tym powiedzieć. Basia bardzo nalegała, byśmy jak najszybciej do nich przylecieli.

– Myślę, Aniu, że oni znowu coś wymyślili. Wyobraź sobie, że dzisiaj o czwartej rano telefonował do mnie Bob, który wręcz nalegał, byśmy przylecieli do nich na Święta Bożego Narodze-

nia. Jednak tym razem chyba go rozgryzłem. Czytałaś już dzisiejszą gazetę?

– Nie. Leży pod drzwiami. Co jest w niej takiego ciekawego?

– Piszą w niej o Bobie. Myślę, że chce solidnie uczcić z nami swój sukces. Przeczytaj sama, co o nim piszą i wytnij ten artykuł na pamiętkę. Najdalej za sześć godzin będę w domu, to porozmawiamy. Jak będziesz się nudzić, to możesz spakować nasze rzeczy. Myślę, że po całym roku pracy należy się nam zasłużony odpoczynek.

– Czy ja dobrze rozumiem? Chcesz polecieć do Brisbane?

– Oczywiście. Dawno już razem nigdzie nie byliśmy.

Ostry zakręt, w jaki wszedł na dużej szybkości obudził w nim czujność. Zwolnił.

– Nawet nie masz pojęcia, jaką fantastyczną zrobiłeś mi tym niespodziankę. Już idę się pakować. Uważaj na siebie, Piotrze!

– Za sześć godzin będę w domu, Aniu. Do zobaczenia!

\* \* \*

Anna oczekiwała Piotra na werandzie. Widział ją, machając do niego ręką już w momencie zjazdu z szosy na swoją posesję. Zawsze podziwiał jej codzienną, niewymuszoną radość życia, jaką okazywała swoim zachowaniem. Miała na sobie białe szorty i w tym też kolorze trykotową bluzkę bez rękawów, która wyraźnie uwydatniała jej piersi.

– Jak się czujesz, mój aniele?

Piotr, trzymając ją w ramionach, czuł jak jej ciało drży.

– Zrobiłeś mi naprawdę miłą niespodziankę, decydując się na ten urlop u Ziarkowskich. Kiedy chcesz lecieć?

– Nie wiem. Jeżeli będą jeszcze wolne miejsca na nocny samolot, to możemy polecieć jeszcze dzisiaj.

– Naprawdę? To cudownie. Jestem już całkowicie spakowana.

Mimo wypowiedzianych słów w radosnym tonie, zobaczył w jej oczach jakiś opór, dziwne zawahanie.

– Stało się coś? Czym się dręczysz? – spytał z niepokojem.

Pociągnęła go za rękę w stronę domu.

– Nie, nic się nie stało – odwróciła głowę w jego stronę, starając się wydobyć z siebie uśmiech.

– Wiesz, Aniu, że nie potrafisz kłamać. Mów, o co chodzi.

– Znowu będziesz się ze mnie śmiał, ale miałam dzisiaj w nocy dziwny sen. Wyobraź sobie, że do tej chwili nie mogę o nim zapomnieć – zrobiła krótką przerwę.

– Na pewno, moja droga, czytałaś lub oglądałaś znowu jakiś horror. Od kiedy pamiętam zawsze po tym tak dziwnie reagujesz.

– Kiedy ten sen był zupełnie inny od tych, które miałam do tej pory. Najgorsze z tego wszystkiego jest to, że ze wszystkich moich snów jakaś cześć zawsze mi się sprawdzała do tej pory.



– Pokazały ci się może numery totolotka? – spytał żartobliwie.

– Nie żartuj sobie, proszę. Widziałam, Piotrze, po raz pierwszy w swoim życiu śmierć i związane z tym...

Zainteresował się wreszcie słowami Anny. Stała mu przed oczami postać Pam i jej słowa.

– Kłopoty, Piotrze. Poważne kłopoty – powiedziała jednym tchem.

– Aniu, bądź rozsądna, proszę.

Objął ją ramieniem, mocno przytulając do siebie.

– Chodź do domu, napijemy się kawy i porozmawiamy.

– Przepraszam cię. Na pewno jesteś zmęczony i spragniony, a ja ci opowiadam swoje nocne koszmary.

– Przyznaję, że już od godziny marzyłem o napiciu się swojej kawy, ale to, co mówisz wydaje mi się bardzo interesujące.

– Jak pięknie, Piotrze, znowu wybrnąłeś z sytuacji. Ale uwierz mi, że to, co ci opowiedziałam jest prawdą. Mnie samej wydaje się to dziwne i nieprawdopodobne.

Piotr zatrzymał się przy schodach, prowadzących na werandę.

– Mówisz, że widziałaś śmierć we śnie. Mogłabyś mi dokładniej o tym opowiedzieć?

Anna, idąc przed mężem, gwałtownie się odwróciła i badawczo przyjrzała Piotrowi.

– Oczywiście, ale myślę, że najpierw powinieneś się odświeżyć. A ja w tym czasie przygotowuję ci coś do zjedzenia. No i twoją ulubioną kawę.

– Masz rację. Chłodny prysznic na pewno doskonale mi zrobi. Ten upał czasami za bardzo mnie męczy.

Anna przyniosła tacę na werandę i postawiła ją na stole. Nagły podmuch wiatru zaskoczył ją. Spojrzała na niebo i zobaczyła nadciągające z północy ciemne chmury. Zastygła bez ruchu. Od kiedy tylko pamiętała, zawsze bała się burzy i grzmotów.

– Czemu się tak bardzo przyglądasz? – usłyszała niespodziewania głos Piotra za sobą.

Gwałtownie odwróciła głowę.

– Przestraszyłeś mnie, Piotrze. Siadaj. Myślę, że ci będą smakować moje kanapki.

Widok spływającej wody po jego policzkach i szyi z mokrych włosów rozbawił ją.

– Zadzwoń do Daniela i spytam o te bilety do Brisbane. – Zerknął na zegarek. – Już po czternastej? – zdziwił się. – Jeżeli będziemy mieć szczęście, to od jutra rozpoczniemy wspaniały urlop.

– Dzwon, Piotrze, dzwon. A ja przyniosę ci pocztę z ostatniego tygodnia.

Uniósł filizankę ze stołu i spojrzał za Anną oddalającą się w kierunku kuchni. Przeniósł wzrok w miejsce, w które uparczywie wpatrywała się Anna, lecz nic szczególnego nie zoba-

czył. Wybierając numer telefonu Danieli głęboko wierzył, że będzie miał szczęście i jeszcze dzisiaj wylecą do Brisbane.

– I jak? Są wolne miejsca?

Anna położyła na stole związaną gumką sporą paczkę listów.

– Oczywiście, że są. Samolot mamy przed jedenastą. – Spojrzał na zegarek. – Mamy siedem i pół godziny czasu, by dojechać na lotnisko. Jeżeli rzeczywiście jesteś całkowicie spakowana, to możemy teraz spokojnie porozmawiać.

Nadciągnęły granatowe chmury, które coraz bardziej przesłaniały niebo. Robiło się coraz ciemniej.

– Wprowadzę samochód go garażu. Myślę, że będzie niezła burza – stwierdził Piotr, wkładając do ust ostatni kęs kanapki.

Wstał, zrobił parę kroków w kierunku schodów i odwrócił się w stronę Anny i spytał, przeszukując kieszenie spodni.

– Nie widziałaś może, gdzie położyłem kluczyki?

– Nie, nie widziałam ich od czasu twojego przyjazdu. Może zostawiłeś je w samochodzie?

Pierwsze błyskawice rozświetliły ciemne niebo.

– Dobra myśl, Aniu. Jeżeli nie będzie ich w samochodzie, to w garażu mam zapasowe.

Anna oparła się o poręcz werandy i uśmiechnęła się, obserwując męża dążącego od samochodu w kierunku garażu.

„Skleroza nie boli” – pomyślała.

Burza zbliżała się bardzo szybko. Nagły, niespodziewany podmuch wiatru zrzucił ze stołu tacę z filiżanką i talerzykiem

pozostałych po posiłku Piotra. Gałęzie drzew coraz bardziej wyginały się pod naporem porywistego wiatru. Spojrzała w drugą stronę. Na piaskowej drodze, prowadzącej w busz wirowały w powietrzu tumany kurzu. Silna błyskawica rozświetliła ponownie ciemne niebo, po czym nastąpił potężny grzmot. Natężenie błyskawic, grzmotów i wiatru nasilało się z każdą chwilą. Stojący przed domem pojemnik na śmieci niczym piórko uniósł się w powietrze, zatrzymując się na konarach eukaliptusa, łamiąc grube gałęzie. Wzmagający się wiatr ryczał ogłuszająco i zmiatał wszystko, co stało na jego drodze.

– Piotrze! – zawołała, jak tylko mogła najgłośniej. – Piotrze! Wracaj do domu! Boję się!!! – krzyczała z całej siły.

Ledwo utrzymywała się na nogach, mimo że kurczowo trzymała się poręczy tarasowych schodów. Czowała, jak wibruje podłoga pod jej nogami. Wzmogła uchwyt poręczy, o ile jeszcze można było go w jej przypadku wzmocnić. Uniesiony wiatrem stół, przy którym niedawno siedzieli, wznosił się w powietrze łamiąc się o potężny słup werandy. W panującym mroku zaiskrzyły przewody elektryczne, po czym słup niczym złamana zapalka runął na ziemię. Kolejne błyskawice i potężne grzmoty uzupełniał szalejący i grzmiący wiatr. Zobaczyła nagle tuż przed garażem jakiś świetlny, poruszający się punkt. Krzyknęła. Chciała dać Piotrowi znać, że go widzi, że żyje i nic jej nie jest. Po kilku próbach zdała sobie jednak sprawę, że jest to jej daremny wysiłek.

## Spis treści

ROZDZIAŁ 1.....	5
ROZDZIAŁ 2 .....	43
ROZDZIAŁ 3 .....	64
ROZDZIAŁ 4 .....	80
ROZDZIAŁ 5 .....	96
ROZDZIAŁ 6 .....	125
ROZDZIAŁ 7.....	151
ROZDZIAŁ 8 .....	164
ROZDZIAŁ 9 .....	185
ROZDZIAŁ 10.....	206
DWA DNI PÓŹNIEJ .....	231
EPILOG .....	260

## JANUSZ BRZozowski



Urodził się 58 lat temu w Polsce, w tętniących studenckim życiem Gliwicach. Od najmłodszych lat marzył o tym, by zostać pisarzem. W grę nie wchodziło zarobkowanie, lecz możliwość przelania na papier swoich odczuć, myśli, wyobraźni, której mu do dnia dzisiejszego nie brakuje. Zadebiutował już w szkole średniej, pisząc pracę, w której wcielił się w postać adwokata broniąc winną popełnienia zbrodni Antygonę. Praca jego została bardzo wysoko wyróżniona. W wieku lat 27 z żoną i 3-letnią córeczką emigruje do Australii, zaliczając po drodze Austrię, gdzie spędza 2 lata. Obowiązek utrzymania rodziny oraz nauka nie pozwalały mu na oddanie się mojej życiowej pasji – pisaniu. Dopiero teraz, gdy jest już wolny od obowiązków, może pozwolić sobie na swoje przyjemności.

Janusz Brzozowski zadebiutował w roku 2010 dwoma książkami „Sen” oraz „Tydzień u rodziny” (wyd. Goneta). Książki te spotkały się z doskonałymi recenzjami krytyków oraz zainteresowaniem wśród internautów, zdobywając nagrodę w konkursie na najlepszą książkę na jesień 2010.